



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.0
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

ZE SPUŚCIZNY OLBRZYMA.

(„Cała Lira” Wiktora Hugo).

napisał

MIRIAM.

(Dalszy ciąg).

Jako natchniony apostoł tego pokoju, braterstwa, przebaczenia i miłości występuje Hugo raz jeszcze w 1-szej księdze „Całej liry,” oraz w dodanym na końcu cyklu pod nazwą: *Struny śpizowej*. Oba działy te, najślabsze może z całego interesującego nas w danej chwili zbioru i będące raczej aglomeratami luźnych, oderwanych całości i fragmentów, winnyby właściwie stanowić jedną „strunę” dziejowo-satyryczną; cała bowiem różnica między niemi redukuje się do tego, że w księdze 1-szej poeta porusza obchodzące go kwestye z życia Ludzkości, na tle ogólnohistorycznym, a raczej historyzoficznym, podczas gdy na „strunie śpizowej” pobrmiewają wyłącznie prawie echa ostatnich wypadków politycznych, co musi—rzecz prosta—nadać wielu jej ustępom nazbyt tendencyjny, a niekiedy aż pamfletowy, charakter. Oba działy są jakby dalszym ciągiem „Księgi satyrycznej” w „Czterech wicherach ducha,” a razem z nią uzupełniają „Kary” i „Rok straszny.” Księga pierwsza „Całej liry” ma, podobnie jak „księga satyryczna” w „Czterech wicherach,” horyzonty szerokie, odznacza się brakiem zaczepek osobistych, inwektywa jej mierzy zawsze dalej (w zasadę, nie w osobę), a współczucie ogarnia wszystko. Spokój i pobłażliwość jest jej główną cechą, sposób potępiania złego i brzydoty odznacza się za-

wsze powagą i godnością, poczucie sprawiedliwości łagodzi najgwałtowniejsze uniesienia poety, miłość wielka, wszystko obejmująca, uspaka gniew i rozgoryczenie. „Struna śpizowa” zbliża się więcej do tonu „Kar” i „Roku straszego.” Podobnie jak w tamtych cyklach, antyteza gra tu wielką, większą niż gdzieindziej, rolę. Ironia i sarkazm dominują, nuta elegiczna odzywa się rzadko bardzo, choć gdy zabrzmi, to już dźwiękiem głębokim, do serca przejmującym. Oburzenie poety wybucha czasem szeregiem—wymysłów poprostu, które padają jak grad bomb i granatów; muza jego, jak rozszalała Eumenida, za każdą broń chwyta, aby tylko zgnieść, zgnębić złe i niesprawiedliwość, które rażą uczucie poety. Czujemy, a zresztą możemy się przekonać z dat, wszędzie prawie podanych, że wszystkie te utwory pisane były pod pierwszym wrażeniem. Miejscami drży w nich łza gorzka, żółci pełna, miejscami dymi gorąca krew ofiar, miejscami jęk bólu pobrmiewa straszliwy.

Księgę 1-szą „Całej liry” rozpoczyna dłuższy poemat p. t. „Rusztowanie.” Rzecz to niezupełnie nowa. W „Księdze satyrycznej” „Czterech wicherów ducha” znajdujemy pod tymże tytułem pierwotne prawdopodobnie, bo mniej wyczerpujące, nie tak zupełne, opracowanie tego samego tematu. Był to, oile sądzić można z porównania z odpowiednim poematem z „Całej liry,” owoc pierwszego natchnienia poety, rzucony na papier w pierwszym rozpedzie zapału twórczego. Brak w nim obmyślenia, brak kompozycyi artystycznej. Fragment to tylko,—wspaniała, choć nieco retoryczna, apostrofa. Poeta chwyta krwią nabrzmiałą, szału dzikiego i zjadłości pełny okrzyk rozhu-kanych rewolucjonistów: „Oko za oko, ząb za ząb! śmierć za śmierć! zemsta! odwet!”—i z całym zapałem, z całą gorącością szlachetnego marzyciela najhumanitarniejszych przekonań powstaje przeciwko temu rozhu-kaniu, przeciwko temu szalowi, przeciwko tej zemście brutalnej,

przeciwko temu odwetowi zwierzęcemu, które są widomemi oznakami fatalnej władzy Arymana na ziemi i które nietylko nie przyspieszają postępu Ludzkości ku świetlanemu ideałowi pozbawionego zwierzęcych instynktów człowieczeństwa, lecz, przeciwnie, częstokroć zwalniają go, budząc tem silniejszą reakcją pierwiastków wstecznych, a nieraz nawet na czas jakiś zupełnie go wstrzymują. „Niechaj ucichną raz te dzikie okrzyki! — woła, apostołując pokój, miłość i przebaczenie. „Dość już nieszczęść, morderstw i spustoszeń! Dość rzezi! dość żałoby! dość już widm bezgłowych i straszliwych nieboszczyków! Dość wizyi posępnych, wzierających zza mgieł zasłony! Dość tych ohydnych palców, wskazujących krew dymiącą i liczących nocą dziury w całunach! Dość karanych, których krzyk wiecznie nas przesładuje! Dość widziadeł, rzucających cień na nasze głowy! Wszystkie burze i nieszczęścia zlały się już na nas. Jeden masz tylko dziś obowiązek i jedną prawdę, człowieku: jak ptak otwiera skrzydła, tak ty otwórz serce ku niebu, które napełnia wielka dusza nieśmiertelna... Precz z krwi rozlewem! precz ze śmiercią!”

Wcielona wielka antyteza, jaką jest poemat „Rusztowanie” w „Całej lirze,” rozwija tensam temat, ale na znacznie już większą skalę, wyczerpująco, szczegółowo, wszechstronnie. Poeta przypatruje się kwestyi z różnych punktów widzenia, sam sobie stawia zarzuty i zwalczy się je stara, zgłębia wszystkie *za* i *przeciw*, nie chce być jednostronnym, a zarazem przygotowuje w ten sposób tło, na którym dopiero z całą świetnością wyblyska, postawiona przezeń jako postulat przyszłości, idea prawdziwej, ludzkiej, wzniosłej, przebaczącej miłości. Dużo tu, jak w każdym prawie poemacie dydaktycznym, retoryki adwokackiej, dużo patosu deklamacyjnego, ale całość owiewa tchnienie potężnej prorocko-apostolskiej poezyi, a niektóre ustępy zdumiewają barwnością i plastyką obrazowania,

Poemat rozpoczyna się jakgdyby skonstatowaniem faktu, tak, jak on się każdemu oku przedstawia. Rewolucye, jako córki bezprawi, przeciw którym są reakcyą, są srogie i surowe; nie mogą bowiem odrazu wyswobodzić się z pod wpływów tradycyi. „To też, gdy ród ludzki, znuzony nareszcie, chciał wstąpić w przyszłość i wyjść z przeszłości, nie znalazł innych wrót nad te, jakie tworzyło olśniewające błyskawicznie ostrze między dwiema belkami, które były ohydą jego ram!... Przez złe chciano wyjść ze złego. Ród Ludzki, aby uciec raz z krwawej kolei, stąpił na głowę ludzką, ostatnią; piekłem rozpoczęto niebo, bo człowiek druzgocący potwora, sam jest potwornym.“

I przed oczyma poety, zatopionemi w księdze wielkich praw losu, roztacza się przerażająca wizya tego „straszego wybuchu praw człowieka,“ tego „ideału, kąpiącego się w krwi strumieniach,“ tej chwili groźnej, gdy „cały jeden świat powstał i cały drugi w proch się walił,“ gdy „światło wzrosło, a mrok jednak się powiększył,“ gdy „hymn nowej Genezy mieszał się z krzykiem Jozafata...“ Oto tłum tytanów, którzy chcą wszystko przebudować; oto ocean straszliwy, którego każda fala zwie się Mirabeau, Robespierre, Brissot, Guaset, Buzot, Barnave, Pétion... Oto płomieniści, pełni wrzawy nowego świata, będący zarazem ludźmi i ideami. Oto Danton, który mówiąc, rozbija serca i mury... Oto, obok tamtych, inni, ohydni, przerażający rozdawcy sprawiedliwości, karciele, mściciele, demony dobra, którzy na rozdzierający krzyk ofiar: „Litości! chwilę jeszcze litości!“ — odpowiadają: „Nigdy,“ których dogmatem jest: „zabijaj tych, co zabijali,“ którzy „przez miłosierdzie są nieubłaganymi...“ Oto Marat, wyjący jak tygrys w swej jaskini, oto „krater straszliwy, Etna, przepaść dymiąca: konwencya,“ oto cały rok 93.—Poeta zatapia oczy w tych posępnych horyzontach dziejowych, zapuszcza wzrok w najkrwawsze głębie, patrzy wciąż, choć drży, choć buntuje się, choć zgroza go zdejmuję, patrzy jak najdalej, starając się przejrzeć, bo „widzieć wielkie prawa przeznaczenia—jest to widzieć Boga.“

Ale bunt ów, nurtujący w duszy poety, bunt przeciwko ohydzie, która z lepszego niby jutra zrobiła dalszy ciąg krwawego wczoraj, bunt nieświadomy, odruchowy z początku, przybiera zwolna kształty wyraźnej reflexyi. „Nie, miecz, śmierć, będąca odpowiedzią na śmierć—nie, to nie może być ostatecznym zakończeniem. Rzuć głębiej sondę, mój umyśle. Bo świat-by się zdumiał i ludzie uważaliby się za oszukanych, gdyby postęp mógł zjawiać się tylko w orszaku sprawiedliwych żalów i wyrzutów.“

Poeta żąda większej zgody z postępem i cywilizacją w tych właśnie wypadkach. Oddychamy dziś wszakże idealniejszą, niż przed stoma laty, atmosferą, miększe mamy serca,—fatalne owe czasy przeminęły; nasz wiek ponad starym fal poziomem, ponad nienawiścią, ponad trwogą buduje wielką, świętą wieżę pokoju, miłości, przebaczenia, braterstwa narodów—i tym razem Bóg pozwoli mu dokończyć tej nowej Babel. Więc precz z rusztowaniami!

Nie, prawda nie powinna mieć zgryzot sumienia
Nie, w imię dawnych śmierci, przez dawne cier-

[pienia,

Dość już zemsty — niech świętem będzie ludzkie

[życie.

Orzeł czasów dzisiejszych, ważąc się w błękitie,
Ze wstrętem widzi krwawy dziób sępa starego.
Niech ludy, mając władzę, swej wielkości strzegą,
A o wielkości świadczy słodycz nieskończona.
Pokój! Już nasze dzieci nie ssą wilczyc łona,
Już nie karmi przyszłości naszej w grocie ciemnej
Potwora fatalności straszliwej, tajemnej.

Wszystko to przeminęło. Postęp, który poeta zwie „potrzebą lazurów,“ dał inne środki, równie skuteczne, a nie pozostawiające po sobie żalu, wyrzutów i goryczy:

Republika utrwalac się winna przez miłość,
Przez sojusz rąk i myśli wszech, wierny a cichy,
Przez lilii wszech dla ros wszech otwarte kielichy, się.

Przez piękno, dobro, prawdę w wielkości koronie,
Przez ten postęp, co trwa wciąż, żyje, idzie, płonie,
Przez władzę nad materią wolnych wreszcie ludzi,
Przez uśmiech, z jakim nowe życie się wciąż budzi,
Przez braterstwo, we wszystkich oczach jaśniejące,
I przez zorzę, wieszczącą nowe, lepsze słońce.

Tylko bezprawie potrzebuje uciekać się do
gwałtów, zbrodni, miecza i śmierci:

Prawo nie potrzebuje wpaść w szal wściekłości,
Nie potrzebuje gwałtu, ni groźb strasznych wcale,
Nie potrzebuje miecza dorzucać na szale:
Zjawia się—świat drży wkoło; idzie, — „To Bóg,“

[szepczą.

Od chwili, gdy działa ta siła moralna, moc,
a raczej przemoc, fizyczna jest zbyt czarna, jest
fatalnym dalszym ciągiem tego, przeciwko czemu
ma oddziaływać, jest zbrodnią. A więc:

Śmierć śmierci! Na stos strasznych praw krwawe

[bałwany

Ów stary koran miecza, kodex niezblagany,
Który nieprzebacząc, poprawić się nie da,
Co uderza, co mści się, co się myli!...

Gilotyno! swe noże poszczerb i topory!
Toporzel zrab złowieszczę belki i podpory!
Wytepcie się nawzajem, wy, współnicy piekła!
Padnij w proch niezliczonych kar, tłuszczo za-

[ciekła!

Koła, stryczki — i wszystko, co Ludzkość obraża,
Pod ramieniem postępu, rusztowań grabarza.

(Dalszy ciąg nastąpi).

DO DRUKU.

Artykuł był gotowy; z młodości zapalem

Powstawał młody autor na przesady stare

I z niezbitą logiką—dowodzeniem całym

Pragnął wydrzeć ludzkości skarb najdroższy —

[wiarę.

Już miał podać do druku; lecz choć myślał

[wiele,

Zawahał się raz jeszcze... Kogóż z nas nie

[wzruszy

Myśl o matce? — miał matkę, co w wiejskim

[kościelce

Modliła się dla niego o zbawienie duszy;

Co z taką prostą wiarą do stopnia ołtarzy

Szła całą gorycz życia wypłakać w pokorze,

By dla ludzi mieć tylko ten uśmiech na twarzy

I ten spokój, którego świat nam dać nie może.

Czyż miał walczyć uparcie z tem, co dla niej było

Najświętszem, z czem się zrosło jej serce kobiece?

Czyż miał zdeptać tę wiarę, co była jej siłą?...
Namyslił się... artykuł został jeszcze w tece.

J. J.

NA KRASNYM DWORZE

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

Z czasów pobytu w Kijowie Bolesława Śmiałego

napisał

Fr. RAWITA.

(Dalszy ciąg).

Naprzód wystąpiło dwóch siłaczy do dużania

Jeden z nich miał na głowie wysoki kołpak z ciemnej materii, ostrym zakończony szpicem, który mu się nieco na bok na głowie pochylał. Koszulę miał konopną, cienką, w paski malowaną, a krótką, niesięgającą do kolan, po wierzchu spodni włożoną, a wązkim podpasaną pasem. Na nogach były skórzane łapcie, podwiązane wysoko rzemieniem prawie do kolan. Koszula koło szyi i na piersi była wyszyta nakapkami ze szkła różnobarwnego. Przeciwnik jego miał na głowie w miejscu kołpaka lisią czapkę; strojem od pierwszego nie różnił się niczem, kolor nakapek na koszuli i wzory były tylko inne.

Stanęli tedy obaj zapaśnicy naprzeciwko i poczęli, żartując ze siebie, zachęcać się do dużania.

— A zkad to, mołojcze? — pytał jeden.

— Zkad? Zdaleka... gdzie tacy jak ty dużać się nie stają, a za piecem siedzą i tołokno jedzą...

— Nie zgadłeś, jam z tych... z tych, co takich, jak ty, biją...

Zbliżyli się ku sobie i poczęli się dużać. Z grydnicy posypały się słowa zachęty.

— A nu, chłopcy! kto kogo poduża, temu kniaz sobola da i czaszę miodu!

Dużanie się jakoś nie szło siłaczom.

— W słowach, jakby miod jedli, a dużają się, jak zajac! — zawołał ktoś pogardliwie.

Siłacze zapalali się coraz bardziej i z zacięciem na siebie uderzali, nieszczędząc docinków przy każdym uderzeniu.

— Hej, ty raku z Nowogrodu! Nie tędy leziesz! — wykrzyknął jeden, otrzymawszy zamasyte uderzenie.

— Tak, tak... z Nowogrodu—zgadłeś. A wiesz ty, że u nas w Nowogrodzie domy kamienne, a ręce—żelazne?

Jakby na potwierdzenie tych słów uderzył przeciwnika, który się zachwiał, i podskoczywszy do niego w pas go pochwyił.

— Dobrze, dobrze Nechoroszko! — wołano. — Bij! ojca się nie bój, to cudza skóra, ciebie nie boli...

Nechoroszko zachęcony temi słowami, podniósł w pół przeciwnika, strząsnął nim w powietrzu i o ziemię rzucił. Rzucony stęknął i powstać nie miał już siły.

Nechoroszko zdjął z głowy lisią czapkę i pokłon oddał Izasławowi.

— Sława miłosciwemu kniaziowi i drużynie sława! — wykrzyknął.

Izasław skinął na jednego z otroków.

— Nalać czaszę miodu Nechoroszcze i dwa sobole wydać!

Nechoroszko, przyjąwszy od otroka czaszę z miodem, znowu kłaniał się najpierw kniaziowi, a potem wszystkim.

— Na sławę kniazia, za zdrowie gości i drużyny — rzekł i czaszę wychylił.

Kiedy uprzątnięto podużanego, Izasław skinął na siedzących na małym podwyższeniu muzykantów; było ich czterech: dwóch grało na myśliwskich rogach, jeden na gęśli, a jeden na bandurze, piąty siedział opodal, trzymał w ręku talerze metalowe.

Tańce następowały jedne po drugich, którym gość i drużyna przypatrywali się z grydnicy, a cała umiejętność polegała, jak się zdawało, nietylko na gracyi i czystości ruchów, ile na imitowaniu nadzwyczajnej wesołości, która tańcowi nadawała charakter najswobodniejszych ćwiczeń gimnastycznych.

Jedni tancerze zmieniali drugich, a taniec szedł nieprzerwaną koleją śród powszechnej wesołości, wykrzyków zachęty, dźwięku sreber i uderzeń czasz.

Mała przerwa w tańcu służyła tylko na to, ażeby odpoczynek dać grajkom, a wtedy tancerzy zastępowali demestycy i uczujących zabawiali śpiewem.

Była już może piąta godzina nocno, kiedy Bolesław odjechał ze swoim orszakiem na Krasny Dwór. Izasław z drużyną pił jeszcze.

VI.

U czarodzaja.

Świt począł rumienić się na niebie, kiedy drużyna Izasławowa rozjeżdżała się z kniaziowskiej uczty. Wyszatycz wracał chmurny, pod wrażeniem tego, co słyszał na uczcie, a obok niego w milczeniu jechał bojarzyn Czudyn. Zdażali obaj do Berestowa. Spuszczali się już ku Chreszczatej Dolinie, kiedy się Czudyn odezwał:

— Widzisz... jak Warażko zasługuje się Lachom... przepija do nich...

Wyszatycz precedził przez zęby:

— Niechaj się zasługuje, dopóki Izasław nie opamięta się, a opamiętać się przeciw musi!

— I pewnie, że musi—rzekł, jakby od niechcenia Czudyn — bo idzie do tego, że niewiedzieć kto na Rusi kniazem: czy Bolesław, czy Izasław? Wszesław uciekł, a licho Lachów przyniosło.

Znowu zapanowało milczenie.

— Naprowadził Lachów — ciągnął po chwili Czudyn—ale na swoją biedę... Jedzą tylko nasz chleb i dziewczki bałamuca, a Bóg wie jeszcze, czem ta lacka drużba zakończy się.

Wyszatycz unosił się.

— Pocóż kniaz trzyma przy sobie Lachów? Po co pije z nimi i na łowy jeździ? Niech ich precz pędzi! Obchodziliśmy się bez Lachów, możemy i dalej żyć bez nich!

— I pewnie, że możemy—potakiwał Czudyn—ale niech-że ich wypędzi! Nie śmie! Lachy go na stolicę ojcowską posadzili.

Znowu zmilkli obaj. Czudyn zpedełba zyzem na Wyszatycza patrzył i uważał, jakie wrażenie mowa ta sprawi; ale Wyszatycz nie odpowiadał. Widać było, że każdy miał swoje myśli, któremi się zaprzętał; każdy coś krył w sobie. Czudyn chciał wybadać towarzysza.

— Hej! nie taka to znowu trudna rzecz pozbyć się Lachów — mówił jakby sam do siebie — Rusi wiele, a Lachów mało...

— Bić się z nimi przeciw nie będziemy...

— Bić się? Może nie, a może i będziemy...

Wyszatycz niedowierzająco głową kiwnął.

— Sami nie pójdą, dobrze im tu — rzekł — a Izasław przeciw z dobrej woli nie odeśle do domu—nie będzie śmiał.

Bojarzyn Czudyn uśmiechnął się zpod wasy i do Wyszatycza nachylił się niby do ucha.

— Kniaź-by ich do stu dyabłów odesłał. Nie chce tylko głośno licha wywoływać z lasu. Jakby teraz Lachów odesłał, to Wszesław, jak jastrząb, znowu na Rus spadnie, a poki Lachy są—boi się.

— Kiedy tak—to rady niema: trzeba chyba z Lachami trzymać, czy co?

Czudyn znowu na Wyszatycza zezem spojrział.

— Jest — odezwał się — chować pojednemu tak, żeby i rodzona matka nie znalazła!

Wyszatycz zlekka puścił cugle koniowi, który wązką drożyną leśną postępował powoli, a drugą ręką gładził brodę i wasy.

— Nie tędy droga, bojarynie! Póki na Kniażym Dworze będzie siedział ten królik — i ręką pokazał w kierunku Krasnego Dworu—póty u nas nie będzie spokoju. Jednych sprzątniemy, przysła mu drugich.

Tředowata, porosła włosem, jakby niedźwiedzia, twarz Czudyna rozjaśniła się. Uśmiechnął się z początku tak, że mu się gęba rozwarła od ucha do ucha, a potem głośno śmiać się począł. Echa porywały mu głos i reznosiły daleko po debrach.

— Mówisz słowami Izasława — rzekł. — Dziś na uczcie, kiedy już i Warażko uspokoił się i Bolesław odjechał do domu, kniaz skinął na mnie. Zbliżyłem się, a on mi mówi: źle się dzieje, Bolesław odbiera mi serca Kijowianów; póki on będzie siedzieć na Krasnym Dworze... Mowy nie dokończył, ale odgadłem myśl kniazia.

Czudyn, zdawało się, umyślnie rozpałał gniew towarzysza.

— Hej! prawda! dosyć-bo już nam tej lackiej drużby! — wykrzyknął Wyszatycz. Usta mu się ścisnęły gniewem i dwie wielkie bruzdy zarysowały się na czole nad osadą nosa. Potem nagle

pieść podniósł do góry i trząśł się w powietrzu.

— Ja-by-m z nimi prędko dał sobie radę!—wołał.

Czudyn uśmiechnął się, rzucił okiem dokoła, jakby się chciał przekonać, czy niema nikogo, a potem pochylił się ku Wyszatyczowi i półgłosem szepnął:

— I kniaz Izasław myśli taksamo... Sam mi mówił: słuchaj Czudyn, jak Wyszatycz nie skrećci głowy temu królikowi, co się do dziewczek naszych zaleca, to już chyba nikt inny.

Wyszatycz milczał chwilkę.

— A zkadże Izasław wie o tem, że mi Lachy tu siedzą — i ręką pokazał na gardło.

Bojarzyn z ukosa zerknął na Wyszatycza.

— Jaktó—zkad? Masz prawo...—a potem niby od niechcenia dodał: i dobrą sposobność...—cała drużyna i król pod twoim bokiem siedzą—jak w klatce. Co dnia masz ich w rękę; kniaz wie o tem.

Po tej uwadze Czudyna rozmowa urwała się znowu. Obaj jechali w milczeniu drożyną leśną. Śliczny i cichy poranek otaczał ich dokoła. Słońce tylko co poczęło wschodzić i złotymi promieniami przedzierało się przez gęstwinę leśną, załamując się w brylantowe światła w kroplach porannej rosy, któremi gałęzie drzew, jakby w naszyjnik, przystroili się. Była to cisza budzącego się ze snu poranku, wśród której dolatywał ich uszu daleki krzyk łabędzi, dzikich gęsi i kaczkę, przelatujących na żerowiska dzienne, zmieszanej ze śpiewem i świegotem leśnego ptactwa. Tu odezwał się głośnym pukaniem głos dzięcioła, ówdzie kos, obudzony słońcem, które mu w oczy zajrzało, świegotął, a daleko zpomiedzy niebotycznych lip wierzechowin Chreszczatej Doliny, od Kłowskiego Wąwozu odzywały się chóry słowicze, rozlegające się trelami w głuchych dolinach Deorów. Po zaroślach, tatarakach i skrzypach górskich potoków odbijał się echem hałaśliwy skrzekot żabi.

Obaj jeźdźcy w milczeniu jechali pod górę drogą ku Berestowu i wsluchiwali się w ten hałas poranny. Milczenie ich chwilami przerywane było prychaniem koni, wdychających w siebie z rozkoszą świeżość poranną.

Widać obaj jeźdźcy mieli o czem myśleć, bo obaj jechali w milczeniu czas dłuższy; już dobrze podjechali do góry tak, że szczyt Sokolego Rogu widać było, kiedy Czudyn odezwał się w te słowa:

— Ładną piosenkę grają słowiki Dobryni na dzień dobry...

Widocznie Czudyn chciał rozpocząć rozmowę, a może i cel w tem miał jaki.

Na imię Dobryni Wyszatycz obrócił się nagle.

— Dobryni?—powtórzył i spojrział mimowolnie w stronę Kłowu. — On jeszcze tam mieszka? Mówili, że poszedł do Pskowa.

— A gdzieżby miał siedzieć? Chodził do Pskowa, ale ledwie z całą głową uszedł... Tam nie żarty! Kniaź Gleb kazał otrokom porąbać czarodziejów... a nasz stary uciekł.

— I dawno wrócił?

— Nie. Tej zimy, gdy Wszesław kniażył w Kijowie... O! to głowa! — dodał, jakby do siebie — wie, co każdego spotka... Wszesławowi przepowiedział, że nie długo będzie kniażył w Kijowie—i zgadł.

Dojechali właśnie do małej drożyny, która odchyłała się naprawo.

Czudyn zatrzymał się nagle.

— Ot, wiesz—snuje mi się myśl jedna po głowie — rzekł do Wyszatycza.

— Mów, bojarynie...

— Ta drużyna prowadzi do Dobryni...—i drożyną ręką pokazał.—Warto dojechać... Spytamy starego, niech nam całą prawdę powie... Niech powie, czy jeszcze raz kniazia zmieniać będziemy? — dodał złośliwie.

Chytrym wzrokiem spojrział na jadącego.

Wyszatycz uśmiechnął się przymuszonym uśmiechem, ale widać było, że się zamiarowi nie sprzeciwia.

— Hej bojarynie!—rzekł z udaną wesołością—

ciekawy jesteś, co cię jutro czeka, ale z czarodziejem nie łatwa sprawa!

Czudyn odgadnął chęć Wyszatycza.

— Prawda, ludzie mówią, że to biesowska siła, ale ciągnie coś czleka! Dobrynia i kniazom wróży, czemuż-by nam nie mógł?

— Po co to wiele mówić — rzekł Wyszatycz — Jak chcesz jechać, to jedźmy... Drogi mało co nałożymy.

Obaj jeźdźcy skrećili na drożynę, prowadzącą do Kłowskiego Potoku; ale drożyna była zbyt wązka, jechali więc w pojedynkę; przodem Czudyn, zanim Wyszatycz.

Czudyn, jadący powoli, ciągle coś mówił—to o tem to o owem, a Wyszatycz zbywał go półsłówkami, często nie podnosząc nawet schylonej na piersi głowy. Widać, że go coś trawiło, coś mu dokuczalo, coś mu na sercu ciążyło. Nie był on wcale zwolennikiem Izasława, ani jego łaski nie posiadał i nie lękał się mówić prawdy, ile razy potrzeba było; dał tego dowody w czasie poselstwa. Dawniej bał się Lachów, jak inni, lecz nie miał powodu ich nienawidzić; kiedy jednak przekonał się na ostatnim wiecu Kijowianów, jaką ma dla ludu przychylność Król Polski, uczuł dla niego nie bojaźń, ale szacunek. Wszyscy o tem wiedzieli; z uczuć swoich nie potrzebował robić tajemnicy. A jednak teraz myślał inaczej, na uczcie na Kniażym Dworze stawał w obronie Izasława i spierał się o niego z innymi. Łatwo było powód takiej zmiany odgadnąć: Wyszatycz kochał zawsze Ludę, byłby chętnie dał za nią życie, ale Luda była na Krasnym Dworze, jakby żona króla — dobrowolnie, kochała go... Nie miał więc spokoju. Myśl o kobiecie ukochanej, która innemu szyję oplata ramieniem swoim, która pocałunki na innych ustach składa, innemu szeptała słowa miłości odebrała mu spokój. Wyszatycz kochał Ludę, nie tylko jak kochankę, kochał jak siostrę, pieścił ją dzieckiem, rosła w jego oczach—dziś tę Ludę utracił. Żal mu było i wstyd. Żal własnego szczęścia, które, jak dym, rozwiolał się z wiatrem, wstyd przed rówieśnikami i przyjaciółmi z drużyny, że ta, którą on kochał, za suknie może lub złoto uszczęśliwia króla... Czasem głos jakiś z głębin duszy szeptał mu: cóż król winien? Luda go kocha... On nie pytał o winę, chętnie może byłby przebaczył nie brak miłości dla siebie, gdyby widział, że ona nikogo innego nie kocha. Ale Luda kochała króla, żyła na Krasnym Dworze, jak królowa, otoczona łaską i miłością, kochała, upajała się rozkoszą, w terenie Krasnego Dworu był świat cały dla niej... Zapomniała o przyjaciółkach, o starym terenie ojcowskim—o wszystkich, o samej sobie nawet. Zazdrość budziła się w duszy Wyszatycza. Nieraz na uczcie kniażej lub na polowaniu, gdy patrzył w piękną, spokojną, szczęśliwą twarz młodego lackiego króla, tak go porywała wściekłość, że miecz radby z pochew wyciągnął i utopił w piersi królewskiej. Za jednego, który mu mimowoli spokój zabrał, znienawidził wszystkich.

Miotał się, jak tygrys, z gniewu, żalu, zazdrości. Na uczcie pił, wychylał czasę jedną po drugiej, na polowaniu sam godził z rohatyną na niedźwiedzia, z łukiem szedł na wilka; całe dni przepędzał na koniu, z ulubionym krzeczotem na ramieniu: a zapić zazdrości nie mógł; ryk niedźwiedzia nie zdołał mu spłoszyć przed oczu ukochanego widma. Kiedy zmęczony wracał z sołosem na spienionym koniu, rzucał się w gorące na łożo, ale nie znajdował spoczynku... Marzyła mu się szczęśliwa twarz lackiego króla, kiedy na jego szyi, jak wąż opleciona, wisiła, uśmiechająca się łagodnym uśmiechem miłości, Luda... Ha! przeklęta—wołał przez sen—zapomniałaś o domu rodzicielskim, o sławie niewieściej, o starym ojcu, który byłby tego twego szczęścia nie przeżył—o wszystkich zapomniałaś... dla kogo? Porywał się z łoża, za miecz chwycił, kazał otrokowi palić lucywo—ale w izbie nie było nikogo: on ją zapełniał tylko własnymi myślami.

Nie dziwnego, że jadąc z Czudynem nie był bardzo rozmowny: męczyły go zawsze jednakie myśli, przed duszą stały zawsze jednakie, smutne obrazy. Czudyn, wychowany na grudnicy kniaziowskiej, sprytny, ostrożny, usłużny,—temu, kto mu płacił, łatwo domyślił się smutków Wyszatycza.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

LXIII.

tycza, i chciał młodego bojara dla swoich celów zużytkować Ciągłagona słówka, ale Wyszatycz nie łatwy był do rozmowy. Dostrzegłszy dawno już utajoną nienawiść, jaką młody żywił dla Bolesława, cieszył się, że kniaziewi przysporzy dobrego sprzymierzeńca, mogącego niemal od dać usługę. W tym celu narzucił się Wyszatyczowi i jechał w gościnę do niego na Berestowo, gdzie mieli wspólnie polować dni kilka. Zbliżenie się z Wyszatyczem było Czudynowi potrzebne.

Drożynę, na której zostawiliśmy jeźdźców, obaj jechali dobre półgodziny. Jazda to była dość uciążliwa, bo gałęzie drzew na wąskiej drożynie, niezbyt uczęszczanej, splatały się u góry; potrzeba więc było co chwila schylać się na siodle. a przy każdym potrąceniu gałęzi deszcz kroplisty spadał na nich. Po półgodzinnej jeździe konie poczęły strzycz uszami coraz niespokojniej: było to znakiem obecności mieszkania lub zwierza. W istocie, mieszkanie było niedaleko, bo za chwilę dało się słyszeć szczekanie psa. Głos dolał z daleka, a tymczasem wokół otaczały jeźdźców niebotyczne lipy, klony i jawory—jednym słowem: puszcza. Śród ciszy, przerywanej szmerem liści i szczekaniem psa, słyszeć się dawał szum jakiś, niby bieg wody, niby obrót kół młyńskich.

— Już niedaleko—rzekł Czudyn, bokiem nieco zwracając się ku Wyszatyczowi, który o parę kroków za nim jechał.

— W domu? Jak myślisz? Abyśmy drogi nie nakładali daremnie.

— W domu... Burek szczeka i woda szumi na lotokach—musi być w domu.

Tymczasem szczekanie psa stawało się coraz wyraźniejszym. Ścieżka była niby trochę szerszą, a z pobliza doleciał ryk pasącego się bydła. Przy ścieżce rosły pokrzywy; nieco dalej widać było polankę między gałęziami drzew mignął poczerńniały, mchem porośły dach—jeden, drugi. Na powitanie jeźdźców Burek wyskoczył na środek drożyny i począł gwałtowniej ujadać, a widząc, że ich nie powstrzyma, usunął się w krzaki, ale szczekał tem głośniej. Jeźdźcy wjechali na niewielką polankę, będącą dziedzińcem zagrody Dobryni. Zatrzymali się pośrodku, rozmawiali ze sobą cicho i rozglądali się dokoła, jakby oczekiwali kogoś, oglądając na chatkę przytuloną pod dwoma rozłożystemi jaworami. Chata była niewielka, ale stara i kryta słomą, poczerńniała od deszczu i słoty. Dach cały, jakby zielonym kobiercem, pokrywały kępy zielonego mchu, a z pomiędzy zieleni strzelały do góry gęste krzaki stokłosa, żyta, mietlicy leśnej. Przez ciemno bure pokrycie dachu wymykał się dym kłębami, pełzał po dachu, potem wywijał się ponad konary jaworu i rozpyływał się niewidzialnie w złoćącym się od wschodzącego słońca powietrzu. Na tentent i rzenie koni, na głos jeźdźców i szczekanie Burka, odsunęło się małe okienko w chacie, wychyliła się w milczeniu jakaś głowa, zniknęła napowrót i okienko zamknęło się znowu.

Tuż naprzeciwko jeźdźców, w trawie dziedzińca wydeptana ścieżka prowadziła do napół zakrytego krzakami leszczyny i kaliny strumienia; poprzez szerokie liście leszczynowe widać było migotanie młyńskiego koła i słyhać szum wody.

— Ktoś się pokazał i zniknął—zauważył Wyszatycz. — Boją się, czy co u licha!

— Niema tu ani bać się komu, ani kogo — dodał Czudyn i jakby na potwierdzenie tych słów zwrócił się do chaty i krzyknął głośno:

— Stara! hej, stara! a gdzie Dobrynia?

Drzwi od chaty skrzyknęły i na progu ukazała się napół złamana staruszka, wsparta na kij. Spojrzała ciekawie, ale podejrzliwie na jeźdźców.

— Jest Dobrynia... a gdzieżby się miał podziać? Mąkę we młyńskie miele... pójdę zawołać go do waszej miłości.

Ruszyła się powoli, bojaźliwie na bojarów spoglądając.

(Dalszy ciąg nastąpi)

Lena dramat w 4-ach aktach, (6 odstępach) *Maryana Jasielszczyca* (Wacław Karczewski); zaszczytnie odznaczony na konkursie imienia Wojciecha Bogusławskiego w Warszawie 1886 r.—przedstawiony poraz pierwszy d. 5 Września r. b. na scenie Teatru Letniego.—Teatru ogródkowe. **W Tatrach**, obraz sceniczny w 4-ach aktach *Klemensa Junoszy*, muzyka Z. Noskowskiego — w „Wodewilu.” **Ptaki Niebieskie**, komedia w 3-ach aktach *Zygmunt Przybylskiego*—w „Bellevue”. **Walka o córkę**, melodramat w 5-ciu aktach z kupletami i śpiewami, na tle życia mieszczańskiego, oryginalnie napisany przez *Pawła Koźmińskiego*, z muzyką Kornela Nowackiego; odznaczony na konkursie *Echa Muzycznego*—w „Alhambrze.” **Zołzikiewicz** na scenie przy pomocy pani Mellerowej, p.p. Galasiewicza i Noskowskiego. Wiele innych jeszcze dramatów, melodramatów, obrazów i komedji.

(Dokończenie.)

W Tatrach Klemensa Junoszy, — sztuka pomysłana jako nowella humorystyczna, napisana jako dzieło sceniczne — nie długi będzie miała żywot. Do określenia rodzaju tej sztuki nie wystarcza wyraz „humorystyczna:“ potrzeba dodać, że jedynym ruchem prawdziwie dramatycznym w utworze Junoszy jest ten, który autor wywołał, a raczej mógł być wywołać, około dwóch bardzo poważnych, wcale do śmiechu nie skłonnych, postaci parę małżonków, którą życie rozłączyło, a Tatry napowrót łączą — z pożytkiem dla nich samych, dla moralności, i z pewnym zadowoleniem widza. Dramat przedstawia uciężne przygody taterników, w okolicach Morskiego Oka i w Zakopanem. Niema ich co opowiadać, bo nie są ciekawe — zresztą bez śpiewanych kupletów opowiadanie samo niewiele nauczy. Nie braknie w sztuce i mieszczańska kaliskiego, posiadającego przyzwoity handelek, dom, żonę — i dwie córki, które z wód na wody wozi corok, a nigdy ich do ołtarza dowieźć nie może; nie braknie żyda z pejsami i przedsięwzięciem instynktem wyzyskania każdej potrzeby, każdej zachcianki ludzkiej; nie braknie bogatego bankiera z bankierową, robiącego dobre interesa nawet na składkach dobrowolnych; nie braknie amanta tej pani, ani też dwóch Węgrów zza gór, i trzech aż Czechów, których komizm spoczywa głównie w nazwiskach. Rzecz prosta, że góry bez górali nie mogłyby być widownią sztuki: są tedy górale, i to jeszcze dzielni; jeden z nich jest powiernikiem nieszczęśliwego, pragnącego już samobójstwem życie zakończyć, małżonka z owej, uciekającej od siebie a szczęśliwie znajdującej się, pary. Ale to wszystko nie wytworzyłoby jeszcze sztuki, gdyby nie muzyka p. Noskowskiego, śpiewki, tańce i wreszcie kostiumy — bardzo, jak na teatrzyk (Wodewil), staranne. Literatura *w Tatrach* musiałaby umrzeć z głodu, gdyby nie wiedziała, że nie ma tam po co z apetytem swym wędrować. W całym utworze uderza jedna rzecz — uboczna zresztą i w stosunku do zadań dramaturgii zewnętrzna: doskonałe odтворzenie gwary żydowskiej, t. z. *żargonu*. Klemens Junosza jest niepospolitym jej znawcą.

Niebieskie ptaki p. Przybylskiego mogły być nie wylatywać z klatki autorskiej. Po takich pohulankach jak *Wicek i Wacek*, jak *Państwo Wackowie*, autor wkroczył tu niby w obręb komedji satyrycznej, ale przy pierwszym tym kroku poślizgnął się. Krytyka lwowska podobno sztuki jego chwaliła: zachodzę w głowę, co się jej podobać mogło. Jest to niesmaczna szarża stosunków, których autor wcale nie zna, charakterów, których wcale nie dostrzegał w życiu okiem badacza—komizmu, skłóconego z poważnym zadaniem wyrwania młodej istoty z niewłaściwej dla niej atmosfery. Te *Ptaki niebieskie*—to albo zwyczajnie wietrznie nie pierwszej już młodości, al bo nie takie ptaki, jakie nam autor ukazuje. Poufałość ze służącą Józją nie jest możebna w sferze, do którejby wchodzić mogli chociażby tylko tacy Dorembowie. Rola Grosiewicza banal-

na, stosunek jej do roli Mecenasowej niedramatyczny; charakter dziecka zabieranego na wieś nieokreślony; skąpiec, czy lichwiarz czychający na młodą dziewczynę i spodziewający się ją dostać przy pomocy matki — zrobiony jakby z *papier maché*. Wszystko to niczego nie przedstawia, niczego nie maluje, na niczem piętna satyry nie kładzie, bo w tem wszystkim niema ani głębokości odczucia, ani umiejętności wyrażenia, ani nawet rozsądku w układzie. Niewiadomo co to za świat,—co to za ułamek świata; co chciał autor napiętnować i czy nie szkoda było rozpalać żelaza, żeby pokazywać takie panie, jak Mecenasowa, Lula lub Ciemięcka?

Towarzystwo artystów dramatycznych poznańskich znalazło sobie nareszcie „bombę“: zapóźno, aby nie mieć wspomnień niedoli, ale dość jeszcze wcześniej, aby podreparować najwyższą rzecz w sztuce dramatycznej—kassę. Od 18 Sierpnia w teatryku Alambra nie schodziła z afisza nowość nazwana *Walką o córkę*. Autorem jej jest nowy dramaturg-humorysta, p. Paweł Koźmiński. I tę sztukę także wy dobył na wierzchni konkurs, mianowicie: *Echa Muzycznego*, w tym roku rozszadzony, i w tej sztuce również miało być na konkursie innego, a na scenie jest co innego: oczywiście, tam lepsze, tu gorsze. Przypuszczając nawet najlepsze, zaliczyć możemy sztukę p. Koźmińskiego jedynie tylko do rodzaju dramaturgii kupletowej. Wyrzucmy z niej kuplety: nie zostaną z 5 aktów nawet dwa, a w tych dwóch ileż znajdziemy prawdziwie dramatycznego sensu, porządku i składu? Na kupletach stoi wszystko, a co to za kuplety! Słuch nie wystarcza; powonienia potrzeba, aby się na nich poznać. Nie słucha się ich z zadowoleniem, nie bije się im *brava*: nie, tego zamało; ryczy się i wyje z radości. Parnas daleko, ale Saska Kępa blisko: działoby się tam jeszcze lepiej i tym kupletom i całej tej *córce* i artystom i publiczności; o autorze już nie mówię, bo go i tak już z niezmiernym zapalem wywoływano i oklaskiwano bez końca. Znaleźli się wszyscy i poznali na sobie: autor, artyści, publiczność i „bomba.“ Cudowna zgoda! Myliłby się przecież ten, ktoby z powodu kupletów skazywał sztukę na stos za niemoralność; owszem, jest ona bardzo moralną: cnota otrzymuje w niej nagrodę, a występek karę. Dyrektor fabryki nastający na niewinność córki, o którą zrazu ojciec, a później narzeczony toczy walkę z niegodziwcem, jest dość nieroztropnym, aby wyznaczać schadzki w Parku Praskim o godzinie dziesiątej wieczorem! Oczywiście, w parku gospodarzami o tej porze mogą być tylko złodzieje. O nich też jedynie chodziło autorowi: chciał nam ich pokazać. Pokazał także i ich gospodę w jakimś szynku warszawskim; pokazał towarzystwo dorożkarzy, stróżów, śmieciarek i łobuzów bez zajęcia. Nie poskapił nam przyjemności usłyszenia rozmowy syna z matką, syna będącego w dramacie postacią dodatnią. Autor nie bawił się w żadne faramuski: wystawił życie takim, jakim jest; ale nie wystawił w niem jeszcze tego wszystkiego, czem Zola zajmuje czytelników swoich w *La terre*; na drugi raz jednak poprawi się p. Koźmiński i pokaze już nie część życia, ale całe życie ludu warszawskiego dla przyjemności, przykładu, no — i zapełnienia kassy.

Współka literacka pani Mellerowej i p. Galasiewicza, wypróbowała wszystkie siły w dwóch przeobrażeniach z Kraszewskiego: *Chacie za wsią* i *Dziewczęciu z chaty za wsią*, zostawiła dalsze snucie wątku p. Gutowskiemu, a sama wzięła się do Sienkiewicza *Szkiców węglem*. Dopomógł jej p. Noskowski muzyką, dopomogli i artyści „Wodewilu“ tańcami. Z takiego gromadnego współpracownictwa począł się *Zołzikiewicz* na scenie. Pięć aktów aż wysnuto z niewielkiej powiastki. Trzymano się jej wiernie, może aż nadto, bo niewszystko, co w nowelli być może, ma prawo być i w dramacie. Subiektywny pesymizm, oznaczający w rozwoju całej umysłowości Sienkiewicza wybitne stadyum, mógł mieć, nie społeczna, ale estetyczną racją bytu tylko dopoty, dopóki tryskał z żywego źródła swego t. j. z umysłu samego twórcy. Postać nowellistyczna utworu pozwalała na pomieszanie osobistości samego pi-

sarza z osobistościami i przygodami powiatki; w postaci dramatu już takie przesiąkanie indywidualizmu musi być błędem. Pessimizm nie pozwala utworowi oprzeć się na społecznej i ogólnej życiowej prawdzie. Nieprawdziwą jest ta cała gmina Barania Głowa, nieprawdziwym Wójt Burak i sam Wawrzon, sfalszowanymi t. z. nauczyciel i t. z. rezydent (których podobno z dalszych przedstawień usunięto), sfalszowanym i większym ziemianin i jego dwór: nic nie sprawia wrażenia prawdy. A dlaczego? Bo dramat jest od początku do końca tendencyjnym, a wszelka tendencja ma w sobie tę potęgę zarazem i niemoc, iż generalizuje fakta szczególne i z osobistości czyni symbole myśli. Jak wieś Barania Głowa jest w dramacie tylko jedną z wielu, jedną ze wszystkich, tak i owi księża i owa szlachta, i owe Buraki i cała przeświecona rada gmin na i sąd—na to są tylko, aby wyobrażać ogół stosunków, ludzi i wypadków za powszechnie podawanych. Ale ani Barania Głowa nie jest typem wsi, ani p. Skorabiewski nie jest typem ziemianina dworskiego, a rezydent i nauczyciel sprawiają już wręcz wrażenie karykatury nakreślonej bez najmniejszej znajomości duchowieństwa wiejskiego. Sama Wawrzonowa, w noweli wspinała podczas podniesienia, żalostą wstrząsająca wśród burzy—tutaj błędnie i niknie. W ogóle przerobienie się nie udało, a jeżeli jest komu za co dziękować, to chyba tylko p. Noskowskiemu za parę numerów wyborczej muzyki.

Pisarzom tak doświadczonym z przykrością przypominamy pierwszą zasadę sztuki dramatycznej, że się nie trzyma na scenie ludzi bez zajęcia. Rzepowa ciężką miała przeprawę we dworze, ale cięższą jeszcze miała artystka, która rolę jej grać musiała. Ze dwadzieścia minut trwa wystawanie jej milczące pod płótnem. Takich niestosowności wystrzegać się potrzeba na przyszłość.

Ulice, domy, Wioslarze, Warszawy, Projektowicze, Karyerowicze i t. d., wszystko to sy-pało się na publiczność warszawską zwiększając liczbę sztuk, o których wspominałem już dotychczas. Większość tych „premier“ wychylała się na to tylko, aby paść po jednym lub dwóch przedstawieniach. Kto ma atrament, pióro i papier—pisze dramat. A nuż się sztuka uda? Zrobi się przynajmniej w tych ciężkich czasach jakitaki interes. Idealem tego lata były pięć-aktówki oryginalne, wzruszające - wesołe, ze śpiewami, tańcami, muzyką, ogniem bengalskim i światłem elektrycznym. Inne sztuki nie bawiły publiczności. Dlatego dyrektorowie teatrzyków nie chcieli nawet patrzeć na autorów jedno i dwu-aktówek. Dla jednego tylko p. Przybylskiego zrobił p. Puchniewski wyjątek, ze względu na jego zasługi wobec humorystyki polskiej, i wystawił trzy aktowe *Ptaki*. Dawniej można było w ogródku trafić na lepszą komedię oryginalną większą lub mniejszą, poznać niejedną nowość francuską, nie słuchać ciągle tłustych kupletów i chudej muzyki, nie męczyć się i nudzić do północy; dziś wielka sztuka pozapędzała w kąty wszystkie małe, a oryginalne talenta wyparowały cudzoziemców. Publiczność tego chce, a gdy ta dama cze goś zapragnie, wszyscy dyrektorowie, pisarze, talenta, pióra, siły—nawet nadzorca światła lampowego,—naskinienie jej ulegać muszą. Jaka publiczność... Nie, jako żywo, fałsz! Jacy poeci, taka i publiczność!

Stanisław Krzemiński.

„Jan Kochanowski.“

przez

St. Tarnowskiego.

Kiedy się ukazuje nowa książka, w której tytule czytamy: „studium do historii literatury polskiej“—nieobojętne jest pytanie: dla kogo ją autor przeznaczona, dla uczonych, czy dla szerszego koła czytających? Pytanie to mniej jest ważne

gdzieindziej: tam, byle się ukazało studium naukowe, znajdują się zaraz i tacy, co je w popularnej formie podadzą ogółowi; u nas na to liczyć nie można, a nigdzie może nie zachodzi taka potrzeba obznajamiania ogółu z wynikami prac naukowych, w takim, jak ten przedmiocie—jak u nas.

Pierwszy rzut oka na książkę, raczej dzieło, prof. Tarnowskiego, złożone z blisko 500 stronice, większej ósemki, dedykowane Uniwersytetowi Bolońskiemu od Uniwersytetu Jagiellońskiego, z przedmową, i do tego w języku łacińskim napisaną, każe wnosić, że jest to lektura nie dla zwykłych śmiertelników. Przystępuje się też do czytania jedynie z ciekawości, co też professor T. powie nad to, co już (nie licząc dawniejszych) powiedziało o Kochanowskim tyłu uczonych od czasu, gdy z przyczyny jubileuszu zaczęto się zajmować dziejami i dziełami ojca naszej poezji. Tymczasem po przeczytaniu kilkunastu kart doznaje się, co do sądu o formie, najzupełniejszego zawodu: myślałeś, że czytać będziesz księgę tylko pełną tradycji, a przez to pedantyczną, ciężką, oschłą—a tu, porwany pięknością wykładu, ze wzrastającym ciągle zainteresowaniem chłonie myśli pisarza. Charakterystyki: samego poety, biskupów Padlewskiego i Maciejowskiego, to znowu szkic obyczajów w Polsce XVI wieku; rozbiory Odprawy Posłów, Trenów, Psalterza, cały prawie ostatni rozdział—sprawiają wysokie zadowolenie estetyczne. Ta prztem właściwość autora: przejmowania się rzeczą, którą rozbiiera, sprawia, przy różnaitości tematów, jaką się w dziełach Kochanowskiego spotyka, to, że co kilka kart zmienia się nastrój pisarza, a przez to i wrażenia czytelnika tak, że ciągle umysł czuje się świeżym, że rozstać się z książką nie można. To też zapominasz, żeś się zabrał do studyowania dzieła naukowego, ale wraz z autorem radbyś wysłedzić: czego się ten Kochanowski zamłodu uczył, gdzie i kiedy przebywał, jak się bawił? Z pobłażliwym uśmiechem spoglądasz na te jego miłostki studenckie i czujesz, że pierwsze wiersze (łacińskie) są raczej fanfaronadą młodzieńszką, chcącego popisywać się z tem, że i on dotrzymać placu potrafi zepsutym złotym młodzieńcom, niż rzeczywiste jego dzieje. A myślisz, że choćby też było tam—co i prawdy, to—to młodość wyszumieć musi i nawet pono zdrowiej, gdy wyszumie. Żal ci znowu młodego poety, gdy widzisz, że naprawdę cierpi, że doznał zawodu, zdrady od uwielbianej. I radbyś go pocieszyć, że to się zagoi, że inna nagrodzi gorczyce niegodziwej poprzedniczki; i radbyś zreflektować, że nie tylko cierpieć, ale i interesować się, niewarto temi jakimśi Lesbijami, Lidyjami francuzkami, czy włoskami: wszak one wcale nie Polki, a niewiadomo nawet, kto je rodzi.

Opuszczamy z poetą nareszcie Włochy, podziwiamy świetność ówczesnej Francji, Paryża, cieszymy się, że Ronsard zachęca tam poetów do pisania w języku ojczystym, bo nasz Kochanowski pewnie tem zachęcony, ośmielony, pisze pierwsze utwory popolsku, a gdy napisał wiersz—godny polskiej poezji: „Czego chcesz od nas, Panie“, śle go do kraju, aby dać dowód, że on na obczyźnie, jak pszczoła, miód zbiera.

Przyjeżdża wreszcie do kraju, rozgląda się tu: jedno go cieszy, drugie boli, ale wszystko zajmuje. Z miłością krytykuje i publiczne i domowe sprawy. Sława jego, jako poety i nieskalanego charakteru, a wysoce wykształconego, otwiera mu wejście do najznakomitszych domów. Zajmują się nim ludzie, czoło narodu, radziby go podnieśli do wyższych godności i duchowni do duchownego nakłaniają go stanu. Wśród tych powodzeń, są i ciernie: pewnie zazdrość, może zawsze zawiedziona miłość; ale to ciernie zwykle, które na drodze życia każdy śmiertelnik napotykać musi. Poeta waha się: gdzie ma się zatrzymać, jaką drogę obrać. Ale przedewszystkiem jest poetą: natura, wieś, książka, spokój, ładna, miła, *cnotliwa* i rozumna żona: oto jego marzenie. I spełniają się życzenia: osiada w rodzinnej wiosce, a Dorota Podlodowska jest jego „głowy koroną“. Odtąd pędzi życie spokojne, szczęśliwe. A szczęśliwy on, nie tylko jako człowiek prywatny, w swoim kole rodzinnem, ze swojemi książkami i my-

ślami, ze swoją harfą pod cienistą lipą, ale i jako obywatel. A jakie stanowisko zajął poeta wśród ówczesnych prądów anti-katolickich? Że głosił się katolikiem to fakt, ale czy to było jego wewnętrzne przekonanie, czy też ze względów politycznych, jedności narodu—doradzał utrzymanie jedności wiary, i to katolickiej? Professor T. twierdzi, że, jako humanista XVI stulecia—Kochanowski wszystko poddawał pod krytykę, a więc i kwestye religijne, ale, że zadowolenie, zaspokojenie wewnętrzne znajdował tam, gdzie jedynie mógł znaleźć t. j. w kościele katolickim. Począwszy od pierwszej pieśni polskiej, a skończywszy na tem arcydziele, przy którym „pałił się talent poety“—Trenach, głębokie uczucie religijne cechuje duszę poety; reminiscencye zaś mitologiczne i filozofii starożytnej trzeba nie za wiarę, ale za modę ówczesnego humanizmu przeczytać: nie znalazłby poeta takich dźwięków w swojej lutni przy przekładzie psalmów Dawida, gdyby one w duszy jego nie tkwiły. A pytanie: czy która z literatur obcych ma ten psalterz tak blizki oryginału w swoim przekładzie, jakim nas obdarzył Kochanowski? To uczucie religijne ocaliło go i w jednym, może jedynym, *nieszczęściu*—niepowrotnej stracie Urszuli.

Zbierając wspomniane tu rysy, powtórzmy za autorem jego charakterystykę:—„Trzebaż powtarzać, że Kochanowski jest i dziwnie wiernym a dziwnie szlachetnym typem natury polskiej?... On żyje tem wiejskim, ziemiańskim życiem, które jest specyficznie polskim, a w jego uczuciach, w jego słowach pozna się każdy, (po każdej jego pieśni znać, że z tej ziemi wyrosła). Tylko szczęśliwy poeta wziął z natury polskiej wszystko, co w niej jest dobrego i miłego: jej złych skłonności nie miał, lub się pozbyć umiał. Charakterystyczne, dobre i piękne znamiona przemienia: religijność wierną a prostą, serce dobre i czule, miłą i ujmującą wesołość i swobodę temperamentu, wyobraźnię żywą, umysł bystry—wszystko, co jest właściwie lepszym specimenem naszej krwi—to Kochanowski ma w stopniu wysokim, a w połączeniu bardzo harmonijnem: a naszych wad, naszej lekkomyślności, naszej chępliwości, naszej próżności, naszej tak powszechnej zazdrości, tego on nie ma... Jest to natura szczeropolska, ale jakżeby wyczyszczona w ogniu! Wszystko, co niepotrzebne gdzieś znikło; zostało tylko to, co szacowne i ujmujące: typ niezawodnie szlachcica polskiego, ale typ poetyczny, zidealizowany.“

A dalej: „Stoi on na szczytach polskiego życia w tym wieku bujnym i świetnym, któremu, pomimo wszystkich jego niedostatków lub błędów, nie odejmie nigdy przydomka wieku *złotego*. Zamoyński jest najwyższym wyrazem tego wykształcenia, do jakiego pod wpływem tej epoki doszła polityczna zdolność narodu; Hozyusz i Skarga—najwyższym wyrazem jego życia religijnego; zdolność piśmienicza i usposobienie artystyczne mają swojego wyobraziciela w Kochanowskim, który jest pierwszym co do czasu (a na długo pierwszym i co do stopnia) natchnionym poetą i prawdziwym artystą. W swoim zawodzie—jak tancerz w swoich—najwyższy, jest między innymi jedną z wielkich chwał Polski, jednym z wielkich światel jej ówczesnej cywilizacji, i jest sam jeden tej cywilizacji najwdzięczniejszym kwiatem.“

Pierwszym więc miłym zawodem, jakiegośmy doznali, biorąc do ręki książkę prof. Tarnowskiego—było, jakieśmy już znaczyli to, że nie pedantyczne, oschłe dzieło mamy przed sobą, ale opowiadanie piękne, o świetnych ustępach; drugi podobny zawód nas spotka, skoro przekonamy się, że autor obiecuje nam w przedmowie, iż praca jego będzie miała za cel: „zebrać razem wszystko, co nam dotąd o Kochanowskim jest wiadome, i na podstawie tych prac szczegółowych ułożyć książkę, któraby była i opowiadaniem jego żywota, oile nam jest znany, i ocenieniem jego pism.“

Otóż szanowny professor dał nam nierównie więcej, aniżeli obiecał. Prawda, że korzystał ze wszystkich prac poprzedników, ale krytycznie roztrząsał to, co było przed nim zrobione i przy-

jął to tylko, co tę krytykę wytrzymało. Niepodobna wchodzić nam tu w szczegóły i orzekać o nich, na którą stronę się przechylamy — czy autora, czy poprzedników; zaznaczamy tu tylko, że ta krytyka oddała tę przysługę, iż domysły, wywody, poprzedników zanadto śmiało osłabiła nieraz i tym sposobem zbliżyła rzecz ku prawdziwemu jest przecież dla nauki przyznawanie niewiadomości czegoś, niż ludzenie pozorami.

Posunąć się też starał professor T. rzecz naprzód przez oznaczenie chronologicznego porządku w pieśniach, oraz zbadanie stanu duszy Kochanowskiego w jego latach młodzieńczych. Zawdzięczamy też szanownemu Autorowi wykazanie stosunku poety do ówczesnych poglądów politycznych, społecznych, religijnych. Co do tych ostatnich — broni autor prawowierności poety względem Kościoła. Wzywa w przedmowie, iżby mu przebaczone zbyt długie zatrzymywanie się nad osobistością Myszkowskiego; poprzednio już zaznaczyliśmy, że ten epizod do najpiękniejszych należy. Wiele też zawdzięczamy Autorowi, (bo on w tym razie najwięcej u nas może), tam, gdzie o ocenę estetyczną idzie. Zaznaczyliśmy już wyżej te tak piękne a rzadkie u nas oceny Trenów, Odprawy, Psalterza, pieśni: — „Czego chcesz od nas...”

To są szczegóły, szczegóły może i piękne; ale ważniejsza, że szanowny professor odtworzył nam całą postać poety. Po przeczytaniu książki widzimy go, kochamy, cenimy. Czy ten portret Jan z Czarnolasu jest istotnie podobny do niego we wszystkich szczegółach? — tego twierdzić nie można, bo mimo tylu szczytów, gruntownych poszukiwań tylu uczonych — (pp. Przyborowski, Nehring, Löwenfeld, Kalenbach, Kryński, Morawski, Parylak, Windakiewicz, Małcurzyński, ks. Gacki, Plenkiewicz, Ohlebski, Faleński, Rymarkiewicz, Chmielowski i t. d.) — zbyt mało odnaleziono faktów, dat z życia poety; ale — portret ten jest podobniejszy, niż przed temi badaniami mógł być; jest on o tyle podobny, o ile przy dzisiejszym stanie nauki być może. Przybyło więc w książce prof. Tarnowskiego nowe — tak pożądane a tak piękne studium nad naszą literaturą.

Floryan Jagowski.

W ANTYLLACH.

p zez

Quatrelles

przekład M. K.

(Dalszy ciąg).

W naszym starym świecie wszystko się jakoś składa na to, aby wzbudzać litość dla starych nędzarzy. Tu, na tej ziemi rozrzutnie bogatej, gdzie głód i zimno pozostają rzeczami nieznanymi, nędzy pozostają jedynie jej strony odrażające: lenistwo, idyotyzm, upodlenie i zepsucie. Te niekształtne postacie, przystrojone świecidlami w cuchnących łachmanach, te głowy bezmyślne — tworzą całość zarazem smutną i śmieszna, przypominająca mi najstraszniejszych pensjonarzy z Bicêtre. Nie, nigdy nie zapomnego przykrego wrażenia jakie na mnie wywarli czarni żebracy.

Przedostawszy się nareszcie przez ten tłum wstrętny, trzeba się zatrzymać przy kropleniicy. Przyznaję, iż na widok palców, jakie się zanurzały w tej święconej wodzie, cofnąłem się mimowolnie. Tu niema zwyczaju żegnać się raz jeden; naliczyłem, iż każdy wierny czyni najmniej dziesięć krzyżyków. I tak, pierwszy krzyż po umaczeniu palców znaczy się na kalfowej ścianie, następnie, łącząc palec wskazujący z dużym, kreśli się krzyżyki na czole, nosie, ustach i obudwóch policzkach, potem dopiero ostatnie przeżegnanie od czola do piersi i od lewego do prawego ramienia.

Przez ten czas murzynek poprzedzający panią rozwinął i rozłożył na podłodze dywanik i oczekuje, aby postawić krzeselko; z każdej strony kościoła znajdują się ławki, przeznaczone dla mężczyzn, którzy po większej części stoją przez czas nabożeństwa. W kościele ruch ciągły, wierni wchodzą i wychodzą. Woznice w czerwonych kurtkach z batem w rękę, przynoszą dywaniki, przestępując bez najmniejszej ceremonii przez klęczące panie, przyczem ciężkie ich ostrogi dźwięczą głośno po kamiennej posadzce. A jednakże niema jednej Kreolki, któraby nie krytykowała zwyczaju praktykowanego we Francji ustawiania krzesel w kościele: „Bo czy to właściwie — mówią — rozsiadać się przed obliczem Boga? Klęcząc na kamieniu, należy przemawiać do Wszechmocnego.“ Bardzo dobrze; lecz dlaczegoż to ma być większym objawem uszanowania kazać nieść krzesło za sobą, aniżeli zastać je już stojące w kościele? Bo gdyby to jeszcze te panie same niosły sobie taborety, mógłbym to uważać za akt pokuty; lecz skoro niesie go służący, nie widzę wcale, dlaczego miałyby to więcej wzruszać Boga — a, chyba na korzyść służącego. Skupienie ducha w tych kościołach, otwartych na wszystkie strony, jest rzeczą prawie niemożliwą; pominąwszy już ruch pobożnych i bezustanne kręcenie się służby rozkładającej i związującej dywaniki, dochodzi tam najwyraźniej turkot powozów, krzyki przekupniów, kłótnie woźniców i żebraków. Cudzoziemiec znajduje się w stokroć gorszych jeszcze warunkach odrywających myśl jego od modlitwy. Jakże tu się mógł dłużej wobec tylu obnażonych ramion? Zaledwie doszliśmy do Ewangeli, wachlarze zaczynają szeleścić, upał nieznośny, koronkowe mantyle zsuwają się z głowy na ramiona, z ramion opadają koło kibici.

U stóp twoich rozpościera się najcudniejszy żywy kwiatnik. Obok biało-różowych ramion Kreolki, widzisz złotawe ramiona Mulatki, dalej Murzynkę w żółtej muslinowej sukni. Cudne włosy przyozdobione kwiatami; ciężkie sploty, czarne jak heban lub jasno-złociste, wijące się jak węże. Szatynek niema tu wcale. W katedrze ku uczczeniu pamięci Krzysztofa Kolumba znajduje się wmurowana marmurowa tablica, tak skromna, jakby dla jakiegoś średniej zasługi kontr-admirała.

Kościoły kreolskie nie są w niczem do naszych podobne. Sprawiają wrażenie raczej wesołe, niż poważne. Kolory najczęściej jaskrawe mieszają się w nich z sobą. Widać, iż mniej się tam troszczą zawsze o sam gmach, niż o wypełniające go ozdoby.

XI.

Vornito Negro.

Nie mogę cię, czytelniku, oprowadzać po Antyllach i nie ukazać ci zamieszkującego je potwora. Dusze wrażliwe, nie czytajcie tego rozdziału.

Vornito Negro ma zaledwie lat dwieście, ale nie straciło daremnie tego czasu. Historią jego znalazłem w bardzo zajmującej pracy doktora Duverney.

W roku 1687 ukazała się ta straszna plaga po raz pierwszy w Pernambuco, dziesiątkując Portugalczyków. Zaznacza ją pierwszy doktor Jan Ferreya de Rosa i bada ją w Brazylji w Olin-da. W roku 1691 wybuchła nagle na Barbados jako tyfus piorunujący. W Kartagenie i Sainte-Marthe nie znano jej do 1730 r., w dziesięć lat później zagnieździła się w Guayaquil.

Vornito zabójcze swe szpony wyciąga do Stanów Zjednoczonych, Meksyku, Senegalu, Wysp Kanaryjskich... do tysiąca, tysiąca rozlicznych punktów. Nawiedza nawet Europę, ukazuje się w Kadyxie, Maladze, Liworno, na Minorce, jest nawet w Marsylii w 1823 i w Saint-Nazaire 1861 roku.

Wielekroć komisyje lekarskie francuzkie udają się na miejsca nawiedzone straszną choro-

bą. W r. 1821 Bally, François i Pariset prowadzą naukowe badania w Barcelonie. Niedawno nawet, bo w r. 1882, niezmordowany bohaterski Pasteur odwiedzał umyślnie w Pouillac zarażonych przywiezionych z Senegalu.

Na szczęście dla Europy, Vornito pogardza starym światem i ukazuje się tu zawsze na bardzo krótko. Może lęka się przejść niespostrzeżenie pomiędzy wszystkimi plagami zatruwającymi wyczerpany Zachód. Ma zresztą u nas godnego reprezentanta tymczasem w śmiertelnej żółtaczce, odmianie żółtaczki, która pewno wyludniłaby Europę, gdyby się stała epidemiczną. Są to bowiem tesame objawy, te same zmiany w wątrobie, która się odbarwia i staje miękką, przyczem komórki jej ulegają rozpadowi.

Na wyspie Kubie Vornito Negro ukazało się r. 1699 i tak mu się tam podobało, iż pozostało na zawsze.

Potwór niewidzialny, niepochwytany, przechadza się po wybrzeżu i skoro tylko okręt przybije do lądu, wchodzi na pokład wraz z celnikami, policją i urzędnikami zdrowia.

Z początkiem zimy, usypia jak świstak alpejski. Złowroga jaskółka powraca wraz z nastaniem dni pięknych. Kapryśny, niby aktorka, to zadawalnia się za braniem procentu 2 na 100, jak r. 1846, to porywa po czterdzieści ofiar dziennie w samej Hawanie. Współziomków swych pomija prawie, zubożała ich krew nie ęci go wcale. Niechże się jednak oddalą i powrócą znów po kilku latach nieobecności, potwór udaje, że ich nie zna, i gnębi ich bez miłosierdzia. Kreol prawdziwy nienawidzi hiszpańskiego mundur, Vornito też dziesiątkuje szeregi przysyłane z półwyspu.

Rzadko się zdarza, aby się ktoś mógł wydobyć ze szpon potwora. Wiadoma to rzecz: strach też dostarcza mu ofiar, o których nawet nie myślał.

Z początku choroby doświadcza się jakiegoś nieokreślonego osłabienia, dreszczów i osłupienia. Wkrótce rozpoczyna się krwotok nosem i żółciowe wymioty, a po nich natychmiast wymioty czarne z krwi rozłożonej. Skóra chorego żółknie i pokrywa się plamami czerwonymi, osłabienie się zwiększa, przychodzi szalona gorączka i śmierć. Wszystko to trwa trzy, cztery lub dziesięć dni, ale zdarzają się i piorunujące wypadki.

Zaraza ta zabiera więcej mężczyzn, niż kobiet i dzieci. Ci, którzy z początku wybuchu zarazy uciekają z wybrzeży w głąb kraju, niekiedy unikają jej szczęśliwie. Nigdy bowiem Vornito Negro nawet w Europie nie pojawia się daleko od brzegów morskich. Przeciw temu cierpieniu, a raczej klęsce, niema ratunku. To, co zdawało się pomagać w roku przeszłym, w następnym działa zabójczo. Potwór lubi się szybko przerzucać z miejsca na miejsce. Naprzykład, zaledwie zaznacza pojawienie się żółtej febry w Meksyku w Vera Cruz, a już są zarażone nią wszystkie drobne stacje kolei na całej linii *Passo del Macho* z wyjątkiem jednej: Tejeria, gdzie nigdy nie była. Dlaczego? nikt nie wie. Ale dosyć o tym przedmiocie — nieprawdaż?

XII.

W wagonie. — Z Hawany do Batabano.

Noc ciemna jeszcze. Pociąg wyrusza powoli z Hawany. Palacz porusza zapamiętałe dużym dzwonem, umieszczonym na przodzie lokomotywy, albowiem nieznane tam są żadne rogatki ochronne na torze kolejowym, jednakże nie słyszałem o wypadku przejechania kogoś.

Wkrótce jesteśmy poza miastem, gdyż Hawana nie ma, jak nasze większe stolice, nieskończone ciągnących się przedmieść, łączących je prawie z innymi mniejszymi miasteczkami. Otóż i jesteśmy w polu.

Powietrze świeże, rozkoszne do oddychania. Rosa było obfita, ziemia pachnie. Mgła opadła nisko — jedziemy, jak po ułożonej wacie — wkrótce jednak zaczyna się podnosić, otulając stopniowo, najpierw pnie palm a następnie wierzchołki. Księżyc rzuca kilka pożegnalnych promieni po-

między świecące drzewa, po czarnym krajobrazie snują się smugi świetlane, jaśniejsze, niż koloryt nieba. Dzień się zbliża. Jest to raczej nadzieja brzasku, jeszcze nie sam świt. Lecz słońce podnosi się z nadzwyczajną szybkością. Noc pierzcha odrazu. Niema tu prawie łagodnego szarego przejścia pomiędzy nocą czarną a dniem jasnym. Na wszystko patrzeć trzeba z pośpiechem.

Na horyzoncie purpurowo zabarwionym, rysują się luźne linie czarne drzew liściastych. Palma królewska, wysoka, wysmukła, pierwsza otrzymuje pocałunek słoneczny; palmom kokosowym dostają się już resztki tylko. Olbrzymia cisza nocna, nagle przez dzień zaskoczona, szuka schronienia w wagonie.

Przebywszy *Cinaga*, zatrzymujemy się w *Almendarés* o pół ósmej mili od Hawany. Blask dzienny ukazuje nam najbogatszą ziemię w świecie, pozbawioną uprawy. Grunt należy do rady miejskiej.

Wyspa Kuba, mająca rozległości 2.200 mil kwadratowych geogr., zaledwie posiada 1.400.000 mieszkańców. Zbyt mało rąk do uprawy ziemi, zaledwie też czwarta jej część bywa spożytkowaną. Trzy rasy znajdują się na niej.

Rasa biała licząca 764 750 osób.

Rasa czarna 594.428.

Rasa azjatycka zaledwie 34.050.

Ale niech лихо weźmie statystykę. Cóż to za cudowne promienie słońca! Za godzinę ogniem palić nas będą, nie mam jednak siły mieć o to do nich żalu zawczasu. Później przeklinać je będą. Teraz srebrzy i złoci fale słicznego strumienia *Almendarés* od którego stacya przyjęła nazwę. Otaczają go ciemne jodełki; *Almendarés* co mil kilka zmienia miano, przybierając nazwę od miejscowości, przez którą przepływa.

Mijamy *Potrero del Ferro*, szpital waryatów, schronienie posępne, niczem się niezaznaczające.

Kobiety czarne i dzieci na widok nadchodzącego pociągu oddają mu głęboki pokłon, klękając na nasypie kolejowym.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Kronika działalności kobiecej.

— Na niższe kursa telegraficzne w okręgu warszawskim uczęszcza kobiet cztery. Po ukończeniu nauki zostaną one wysłane na prowincję z pensją miesięczną rs. 15, na praktykę, która zwykle trwa miesięcy cztery. Następnie uczennice zostaną przypuszczone do egzaminu.

— Wśród trudnych warunków bytu i zastoju, jakiemu przemysł polski ulega w Poznaniu, kobiety z wyższych sfer towarzyskich stają tam odważnie do pracy. W miasteczku Szamotułach młoda panna, Eugenia Kierska, założyła piekarnię, przebywszy poprzednio mozołną naukę piekarstwa, poznaną nietylko teoretycznie, ale przebywając obok tego i praktykę w wyrobieniu własnoręcznym ciasta, na równi ze zwykłymi uczniami piekarskimi. Takie rozumne i odważne przygotowanie się do pracy w obranym zawodzie jest zarazem świadectwem niepospolitej energii i siły charakteru tej zacnej pracowniczki. Wiadomość podaną otrzymała redakcja w liście od W. M. Kalksteina.

— Warszawskie *Muzeum Przemysłu i Rolnictwa* urządza dorocznie w porze jesiennej dwie wystawy, w których zakres wchodzi i okazy pracy kobiecej.

Pierwsza: wystawa nasion i wszelkich roślin gospodarskich, otwierająca się d. 5-go Października, a zamykająca się d. 14-go tegoż miesiąca, obejmuje działów 10. Dział I. Zboża kłosowe i strączkowe, należy przesyłać w ziarnie po garnce 8 i w kłosach. II. Rośliny olejne po garnce 4 i w wiązkiach. Dział III. Rośliny pastewne po garnce 4, trawy po garnce 2; rośliny okopowe

i rośliny używane na paszę zieloną i kiszoną w tejże ilości. Dział IV. Buraki cukrowe, 2 garnce nasienia i 4 buraki. Dział V. Kartofle stołowe, fabryczne i pastewne po sztuk 15. Dział VI. Chmiel, po szyszek 30, przytem okaz rośliny na tycze i chmiel w stanie handlowym. Dział VII. Rośliny włóknodajne: len, konopie, trojęś, pokrzywy i t. d., garniec 1. Dział VIII. Rośliny fabryczne: tytuń, drapacz, cykoria, mydelnica, 1/2 kwarty. Dział IX. Rośliny korzenne: anyż, kmin, kolender, czarnuszka, garncy 2. Dział X. Rośliny farbiarskie: krokosz, marzana, rezeda farbiarska, unet, malwa czarna (prawosłaz) 1/2 kwarty. Dział XI. Rośliny lekarskie: szalwia, mięta, melissa, rumianek, rwiślin 1/2 kwarty. Dział XII. Drzewa i krzewy: sosna, jodła, świerk, modrzew, brzoza, olsza, wiąz, grab, klon, dąb i wszelkie krzewy ozdobne, 1 garniec. Dział XIII. Rośliny warzywne. Dział XIV. Rośliny kwiatowe, ozdobne.

Nagrody stanowią: dyplomy zasługi, dyplomy uznania, medale złote, srebrne, brązowe, i listy pochwalne. Okazy zadeklarowane w połowie bieżącego miesiąca powinny być nadsyłane od 27 Września do 1-go Października najpóźniej. Okazy szybko wędzące do 4-go Października.

Wystawa przemysłowa obejmuje działów 5. Otwarta d. 1 Listopada, trwać będzie po ostatni dzień Grudnia, zatem miesięcy 2. Dział I. Wyroby z drzewa stolarskie, rzeźbiarskie i tokarskie, więc meble wszelkiego rodzaju, galanteria drzewna, naczynia gospodarskie, wyroby koszykarskie. Dział II. Wyroby metalowe, rozdzielone na grup 11-ście. Dział III. Wyroby ceramiczne, więc porcelana zwyczajna i ozdobna, malowana; fajanse zwyczajne i ozdobne; majoliki, terrakoty, okazy kafli ozdobnych, gzemysy i ozdoby do pieców, naczynia gliniane i kamienne do użytku gospodarskiego, ample i doniczki do roślin, cegła, dachówki, rury drenowe, razem grup 8. Dział IV. Wyroby hutnicze: szkła zwyczajne i kolorowane w taflach, okazy szkła lustrzanego, lustra wszelkiego rodzaju, białe i kolorowane, proste i rżnięte. Dział V. Zabawki dziecięce wszelkiego rodzaju. Deklaracje składać można już obecnie, ostatni termin ich nadsyłania jest do 20 Października. Nadsyłanie przedmiotów zadeklarowanych trwać ma od d. 20 po 30 Października.

Przedmioty wchodzące w zakres pracy kobiecej na wsi i w mieście znajdują na obu tych wystawach szerokie pole popisu.

— Panie ze starej arystokracji francuskiej ogłosiły za pośrednictwem dzienników list otwarty, wystosowany do zarządu olbrzymiego sklepu towarów i ubiorów kobiecych w Paryżu, znane go pod nazwą: „*Au bon Marché*“, a rozslawionego najpierw przez romans Zoli: „*Au Bonheur des Dames*“, a następnie przez szlachetny, mądre dobroczynny testament jego właścicielki, M-me Boucicault. W sklepie tym, mającym zawsze odbyty niezmierny, obsługujące go panny sklepowe zmuszono są stać dzień cały na miejscach, wyznaczonej sobie służby sklepowej; i wtedy nawet, gdy sprzedają zajęte nie są, siadać im nie wolno. Zmęczone niezmiernie wielogodzinnym stanem, nieraz mdleją z wysilenia, wpadają w stan chorobliwy, a w każdym razie tracą zdrowie przez pozostawanie dzień za dniem w pozycyi nienaturalnej, a wtedy pozbawione miejsca wpadają w nędzę. Właściciele zakładu przyrzekli zaradzić złemu, oile położenie pozwoli; że przecież uwaga publiczna została już zwrócona w tym kierunku, można się spodziewać, że nietylko ten jeden magazyn olbrzymi, ale i wszystkie inne paryżkie sklepy bławatne, pragnąc pozyskać sympatya kupujących, udogodnią, ile możliwości, kobiecą obsługę. Panie francuskie, które dały początek temu ruchowi, spełniły czyn uczciwej ludzkości.

— M-me Furnot, rodem Paryżanka, została asystentem anatomicznym przy Szkole Medycyny w Algierze; inna uczona francuska, Ludwika Koppée, redaktorka czasopisma: „*La femme et l'Enfant*“ sekretarzem stowarzyszenia dla filozoficznych i społecznych studiów. M-me Gaillard Bonhommes otrzymała posadę farmaceuty przy liceum w Tuluzie. Amelii Leblois, córce prote-

stanckiego księdza w Strasbourgu, przyznano na egzaminie, składanym w Sorboniestopień: „*docteur-ès-Sciences*“ i jest ona pierwszą kobietą, której stary ten przybytek nauki francuskiej udzielił godność taką.

— Róża Perrée, doktor, a raczej doktorka, medycyny, założyła w Paryżu przy ulicy St. Honoré zakład hydropatyczny dla kobiet. Obsługa zakładu jest całkowicie kobieca, a urządzenie ma odpowiadać ostatnim wymaganiom nauki.

— W przeszłym miesiącu obchodzono w Paryżu, w kolach zajmujących się dziełami dobroczynności, rocznicę trzydziesto-pięcioletniego trwania przytulku sierot, utrzymywanego przez kobietę już dziś niemłodą, M-elle Chanson, zwaną przez lud paryżki: „*Maman Chanson*“, która przecież zajęła się tem dziełem miłosierdzia w wiosnie życia i odsuwając na bok wszelką myśl szczęścia własnego, za mąż wyjść nie chciała i bez klauzury klasztornej wiodła życie siostry miłosierdzia, przytulając pomacierzyńsku sieroty, które nie mogły znaleźć pomieszczenia w zakładach, utrzymywanych przez zgromadzenia miłosierne. Środki utrzymania przytulku były zawsze bardzo skromne, pomoc publiczna bardzo mała, dzieci były też chowane bardzo ubogo, jak dzieci ludu, ale uczciwie i z troskliwością wielką. Po wojnie, po okropnem dla Paryża przejściu obłączenia, Mama Chanson miała w kieszeni 25 franków pożyczonych, aby je dać, jako zadatek za najmowane na zakład swój pomieszkonia. Od tego czasu, który ujawnił wybitniej jej wielkie poświęcenia dla dzieci ludu, otrzymała ona kilkakrotnie od rządu niewielkie zasiłki, które przecież wspomogły ją w chwilach najtrudniejszych, i obecnie zakład jej utrzymuje się szczęśliwie, a odważna kobieta, stosująca szlachetnie te słowa Pisma: — „*Nie lękajcie się, co będziecie jeść i pić*“... prowadzi wytrwale dzieło swoje.

— M-me Ponsot, wdowa po ziemianinie, właścicielu większej własności w departamencie Gironde: Lalande de Pomérol, otrzymała order: „*du Mérite Agricole*“ z tytułem kawalerki, za zaprowadzenie w sadach swoich amerykańskiej metody szczepienia i okrzesywania drzew owocowych. Jest ona pierwszą kobietą we Francyi, ozdobioną tym orderem.

— Anglia mieć będzie wkrótce kobietę adwokata. Miss Marya Greene, która w Czerwcu bieżącego roku skończyła wydział prawny i otrzymała stopień magistra z dodatkiem: *Magna cum laude*, złożyła egzamin, otwierający przystęp do zgromadzenia adwokatów, lecz poświęci się wyłącznie sprawom rozwodowym i będzie obrońcą kobiet jedynie. Drażliwość spraw rozwodowych, ciężkie do przebycia dla kobiet, z uczuciem delikatniejszym, znniejszą się wielce, gdy sprawy będą powierzane kobiecie.

— Autorka *Chaty Wujka Tomasza* (*Uncle Tom's Cabin*) M-rs Beecher Stowe pobiera rocznie 1.500 funtów sterlingów honorarium za te dzieło swoje. Na nasze stosunki jest to summa ogromna, bo odpowiada 15.000 rs. Ale książka, która to przynosi, jest względnie nieopłaconą, bo przyczyniła się najpierw do zdjęcia z ojczyzny pisarki plamy niewolnictwa, następnie pomogła rozkuć z pięć okrutnych miliony nieszczęśliwych ludzi.

Z BIEŻĄCEJ CHWILI.

— Budowa kościoła na Pradze, wyznaczona na rok bieżący, kosztowała, wraz z materiałem budowlanym, 39.000 rs. Szalowanie z desek zabezpieczenia przerwane roboty, aż do wiosennego rozpoczęcia pracy.

— Matejko maluje na zamówienie hr. Tyszkiewiczza obraz, przecież rozmiarów pomniejszych.

— Na budowę Teatru Krakowskiego przeznaczona została summa 400.000 zł. reń. Program planu, na który konkurs został rozpisany, chce mieć w sali przedstawień, oprócz 45 miejsc

dla orkiestry, 940 krzesel dla publiczności, loz 1-go i 2-go pietra 18, parterowych 14. Balkony pierwszego i drugiego pietra mieścić powinny 160 osób, galerya 200. Oświetlenie będzie gazowe i elektryczne, salę przedstawień oddzieli od sceny kurtyna żelazna. Plany konkursowe nadsyłane być mają prezydentowi Krakowa do d. 1 Marca 1889 r. Najlepsza praca otrzyma nagrody 2.500 zł. reń., druga, względnie, najlepsza 1.500 zł. reń. Budowa rozpocząć się ma najpóźniej w Maju 1889 r.

— **Uczony kapłan**, ksiądz Ignacy Polkowski, katedralny kanonik krakowski i vice-kustosz świątyni na Wawelu, członek Krakowskiej Akademii Umiejętności, zmarł nagle w Krakowie w ostatnich dniach ubiegłego miesiąca. Urodzony w 1833 r., ukończył warszawską akademię duchowną w 1857 r. i zaraz wkrótce dał się poznać, jako pisarz kościelny i historyczny. Bawiąc lat kilka w Rzymie, gdzie został mianowany misyonarzem apostołskim, napisał bardzo zajmujące i poczytne dzieło, wydane w 1870 r. „Groby i pamiątki polskie w Rzymie.“ Przebywając następnie w Poznańskim, gdzie był kapelanem jednego z domów tamtejszych, hrabiego Skórzewskiego, napisał źródłowy życiorys i rodowód Kopernika, z wyświetleniem jego polskiej narodowości: „Żywot Mikołaja Kopernika“, wydany w Gnieźnie 1873 r. Wkrótce potem ukazały się dwa grube tomy, będące przyczynkiem i dopełnieniem tamtej pracy: „Kopernikiana, czyli materiały do pism i życia Mikołaja Kopernika.“ Zaraz potem wydał pomnikowe i wysokiego interesu dzieło: „Katedra Gnieźnieńska“, wydane 1875 r.

Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk czyniło teraz zasłużonego na polu piśmiennictwa kapłana członkiem swoim. Członkiem korespondentem Akademii Krakowskiej był od 1873 r. i w tamte strony przeniósł się na mieszkanie stałe w 1877 r., gdzie zaraz też został notaryuszem i sekretarzem kapituły krakowskiej, dyrektorem archiwum biskupiego, którego uporządkowaniu poświęcił wiele pracy i życie jego stało się teraz całkiem oddanem piśmiennictwu historycznemu. Oprócz udziału w wielkim wydawnictwie: „Monumenta Poloniae historica“, wydał wkrótce znakomite dzieło: „Album Długosza“, dalej: „Opis skarbcza na Wawelu“, który miał wiele wydań, dalej opisy starożytnych zabytków, znajdujących się w kościołach krakowskich, rzecz o szkołach w dawnej Polsce, życiorysy znakomych mężów — razem 60 dzieł i broszur rozmaitej, zawsze wysoce interessującej naukowej treści.

Był przytem korespondentem archeologicznego międzynarodowego kongressu w Rzymie, członkiem Towarzystwa Archeologicznego we Lwowie, Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Paryżu. Krakowskie Koło Artystyczno-Literackie dało mu tytuł swego honorowego kapelana, a wszyscy razem wśród swoich i obcych czcili go zawsze, jako wysoce uczonego.

— **Krakowskie Muzeum** otrzymało dar szacowny od warszawskiego malarza pejzażysty, Alfreda Schouppé: studia najpiękniejszych krajobrazów krajowych i zagranicznych, oprawne ozdobnie i tworzące kilka wspaniałych albumów. Obok tego znajduje się album rysunków i akwareli, dokonanych przez ofiarodawcę we Włoszech, w kopii z obrazów wielkich mistrzów, księga facsimili, sztychowanych z obrazów starych malarzy włoskich, oraz kilka wysoce cennych sztychów. Dary składane wciąż Muzeum Krakowskiemu składają je do przybrania sobie nowej sali.

— **Ziemiański Bank Poznański** mianował dy-

rektorem swoim Teodora Kalksteina. Głównem obowiązkiem jego będzie parcelowanie włości, nabytych przez Bank, który zrobił drugim dyrektorem swoim dla spraw handlowych, Pagowskiego, dyrektora Banku Toruńskiego pod firmą: Donimirski, Kalkstein i Łyskowski.

— **Dwanaście milionów drzew owocowych**, rosnących tak wogrodach, jak wzdłuż dróg i gościńców, miedz rozdzielających pola większych i mniejszych własności, posiadają Czechy.

— **Ostatni akt monarszej władzy** zmarłego cesarza Fryderyka był przyznaniem dożywotniej pensji wdowie Froebła, w kwocie 3.000 marek rocznie.

— **Dramat cesarski**. Pod tym tytułem wyszła świeżo w Paryżu książka, napisana przez francuza, Jana Bonnefond, a opisująca życie Cesarza Fryderyka w San-Remo. *Le Drame Imperial* zawiera wiele szczegółów, które prassie niemieckiej nie dozwolono głosić.

— **Lesseps**, którego Francuzi nazywają żartobliwie księciem Suez, będzie wkrótce święcił rocznicę skończonych 83 lat. Kiedy w 1822 r. składał w Sorbonie examen z ukończonych studyów, humaniora wypadły bardzo świetnie, ale przepadł — z geografii...

— **Obraz Munkaczego**, znany w Warszawie: „Chrystus przed Pilatem“, został nabyty przez angielskiego przedsiębiorcę, obwożącego go po Anglii za sumę 20.000 funtów sterlingów, czyli 200.000 rs. Druga kompozycja, stanowiąca jakoby ciąg dalszy poprzedniej, „Chrystus na Kalwaryi“ przyniosła artyście taką samą sumę. Znawcy stawiają ją niżej od pierwszej, która prze-

cież znajdowała mało sympatyj i w Warszawie.

— **Sąd Rénana** o dzisiejszej belletrystycznej literaturze francuzkiej jest bardzo smutny i przepowiada jej zupełny upadek, utratę dawnej popularności i poczytności, rozciągającej się niegdyś na cały świat cywilizowany, czego oznaki już dają się dostrzegać. Angielska belletrystyka zaczyna już brać górę w opinii czytającej Europy: powieści i literackie wydawnictwa francuzkie rozchodzą się obecnie mniej, niż dawniej, czego przyczyną jest niemoralność przedmiotów, traktowanych naturalistycznie. Zdaniem Rénana, nie byłoby tego, gdyby literaci dzisiejsi nie chwytały tak młodo za pióro — gdyby przedtem, zanim oddadzą się tworzeniu literackiemu, poświęcono lat kilka studjom społecznym i namysłowi nad życiem. Niejeden z dzisiejszych pisarzy nie szedłby w danym kierunku, gdyby nie pierwszy popęd młodej gorącej wyobraźni i młodego niedoświadczenia — studyów powierzchniowych. Potem przeszłość już obowiązuje — wiąże. Rénan zaczął pisać mając skończonych lat dwadzieścia pięć.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 2-gi powieści pod tytułem: **Słowo honoru**, przez N. Godina.

Tanie zbiorowe wydanie POWIEŚCI HISTORYCZNYCH JÓZEFA IGNACEGO KRASZEWSKIEGO przedstawiających w formie powieściowej Dzieje od IX do połowy XVIII wieku

W ciągu roku wychodzi 20 tomów (przeszło 200 arkuszy)
Wydawnictwo to rozpoczęło się w Styczeniu r. b.

Obecnie wyszły z druku tomy 1 do 15-go włącznie i zawierają
Powieści osnute na tle historycznym IX do XII wieku pod tytułem:
STARA BAŚŃ. MASŁAW.
LUBONIE. BOLESZCZYCE.
BRACIA ZMARTWYCHWSTAŃCY. KRÓLEWSCY SYNOWIE.

W roku bieżącym wyjdą jeszcze powieści: **O Petru Właście**, 2 tomy. — **Stach z Konar**, tom I i II.

WARUNKI PRENUMERATY

Prenumerata wynosi rocznie za 20 tomów) rs. 7 kop. 20, z przesyłką rs. 8 kop. 80; półrocznie (za 10 tomów) rs. 3 kop. 60, z przesyłką rs. 4 kop. 40; kwartalnie (za 5 tomów) rs. 1 kop. 80 z przesyłką rs. 2 kop. 20. W Warszawie opłacać też można miesięcznie po kop. 60.

Tom w prenumeracie wypada tylko kopiejek 36.

tym sposobem wydanie to rzeczywiście tanie nazwane być może.

Przez prenumeratę nabycie jeszcze bardziej jest ułatwionem.

Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie i kantory pism.

MICHAŁ GLÜCKSBURG, Księgarz-Wydawca, Ulica Królewska Nr 5.

TREŚĆ. Ze spuścizny olbrzyma (dalszy ciąg), przez Miriam'a — Do druku, poezya, przez J. J. — Na Krasnym Dworze, (dalszy ciąg), powieść historyczna, przez Fr. Rawitę. — Przegląd teatralny, (dokończenie), przez Stanisława Krzemińskiego. — Jan Kochanowski, przez Flo-ryjana Łagowskiego. — W Antyllach, podróże (dalszy ciąg), przez Quatrelles'a. — Kronika działalności kobiecej. — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje Arkusz 2-gi powieści **Słowo honoru**. — Przegląd mód. — 32 wzorów ubiorów i robót z opisem — **Sekreta gospodarskie**. — Dyspozycją stołu.